

Minimalna granica przyzwoitości

27 stycznia 2016

Uchwalenie godzinowej stawki minimalnej dla umów zleceń zbliża się coraz większymi krokami i wiele wskazuje na to, że jeszcze w drugiej połowie bieżącego roku to rozwiązanie, które w polskich warunkach powinno być po prostu oczywistą koniecznością, w końcu się urzeczywistni. Wiele mówi o prawdziwym stanie polskiego rynku pracy fakt, że przepis, który ma jedynie zapewnić przestrzeganie prawa w zakresie minimalnego wynagrodzenia, może rzekomo doprowadzić do likwidacji miejsc pracy na wielką skalę. We wszystkich innych dziedzinach życia kogoś, kto użala się nad faktem, że nie będzie mógł już swobodnie łamać prawa, nazwalibyśmy co najmniej hipokrytą, jednak zasada ta dziwnym trafem nie obejmuje ekonomii. W debacie o gospodarce argumenty wysuwane przez podmioty regularnie łamiące przepisy zawsze były traktowane jako warte rozważenia, nawet jeśli w innych okolicznościach podobne tezy uznalibyśmy za ordynarny szantaż. Jako że kijem biegu Wisły nie odwrócę, zagram przez moment na tych wątpliwych warunkach.

Trzeba na początek ustalić jedno – wprowadzenie godzinowej płacy minimalnej dla umów cywilnoprawnych nie jest jakąś łaską dla pracowników, lecz rozwiązaniem, które ma umożliwić realne funkcjonowanie przepisów od dawna już formalnie istniejących. Płaca minimalna w Polsce oficjalnie jest w miarę przyzwoita (jak na polskie bieda-warunki oczywiście). W roku 2015 wynosiła 1750 zł brutto, a przeciętne wynagrodzenie według GUS wyniosło 4121 zł, tak więc stanowiła ona ok. 42 procent średniej krajowej. W większości krajów europejskich, które wprowadziły ogólnokrajową płacę minimalną (a tych jest 22), wskaźnik ten mieści się w przedziale 40-45 proc., więc nie odbiegamy tu od normy. Problem w tym, że w Polsce takie rozwiązanie to w dużej mierze fikcja. Pracodawcy, dzięki

szerokim możliwościom nadużywania umów cywilnoprawnych, bez zażenowania oferują umowy zlecenie z taką godzinową stawką za pracę, która w żaden sposób nie koresponduje z oficjalną płacą minimalną. Godzinowa stawka minimalna wynikająca z przepisów o minimalnym wynagrodzeniu, która obowiązuje umowy kodeksowe, w przeliczeniu w 2015 r. wynosiła ok. 10 zł brutto, tymczasem w niektórych branżach (ochroniarstwo, firmy sprzątające) takie wynagrodzenie jawi się niczym niedościgłe marzenie – królują tam stawki kilkuzłotowe.

I właśnie m.in. dlatego jesteśmy w ścisłej unijnej czołówce, jeśli chodzi o odsetek pracowników zarabiających nie więcej niż wynosi pensja minimalna. Stanowią oni w Polsce aż około 10 proc. zatrudnionych, co jest piątym wynikiem w UE. Bez porównania mniej jest ich chociażby na Słowacji czy Węgrzech (po 4 proc.) czy nawet w Bułgarii (3 proc.). W Polsce ten wskaźnik jest tak „napompowany”, ponieważ poza osobami zarabiającymi pensję minimalną istnieje jeszcze spory segment rynku pracy wynagradzany poniżej jej poziomu.

Oczywiście istnienie takiego „triku” umożliwiającego swobodne płacenie głodowych stawek na umowach zlecenie, bez oglądania się na jakieś fanaberie w rodzaju przepisów o wynagrodzeniu minimalnym, musiało skończyć się eksplozją uśmieciowionego zatrudnienia. I właśnie dlatego jesteśmy już niemal światowym hegemonem w kategorii umów czasowych, na których, według najnowszego raportu OECD „Employment Outlook 2015”, pracuje 28,4 proc. polskich zatrudnionych. Co więcej, szybko gonimy Chile, które co prawda wciąż jest pierwsze (29,2 proc.), ale w kraju, gdzie reżimu elastyczności uczył sam generał Pinochet, ten wskaźnik regularnie co rok spada, natomiast nad Wisłą rośnie. O ile te akurat dane są dość dobrze znane i często w Polsce omawiane, to z niezrozumiałych powodów rzadko się u nas mówi o danych dotyczących pracujących zagrożonych ubóstwem, których jest tu zdecydowanie najwięcej w regionie. Jest to oczywiście bezpośrednim wynikiem umożliwienia płacenia im głodowych stawek. Pracownicy, którzy są zagrożeni ubóstwem,

stanowią w Polsce aż 10,6 proc. ogółu zatrudnionych, tymczasem w Czechach jest ich zaledwie 3,6 proc., na Słowacji 5,7 proc., na Węgrzech 6,4 proc., a w Bułgarii 9,2 proc. W Europie wyprzedzają nas pod tym względem w zasadzie jedynie ciężko przechodzące kryzys kraje południa Europy (Portugalia 10,7 proc., Hiszpania 12,5, Grecja 13,4, ale już nie Chorwacja – 5,7 proc.) oraz Rumunia (19,6 proc.). W zdecydowanej większości krajów UE ten wskaźnik jest jednocyfrowy, jednak my do tej większości nie należymy. Niestety w wyniku masowego omijania przepisów o płacy minimalnej Polska stała się krajem, w którym praca nie chroni przed ubóstwem.

Ile mają wspólnego z prawdą ostrzeżenia, że wprowadzenie godzinowej płacy minimalnej spowoduje eksplozję bezrobocia dobrze pokazuje przykład Niemiec, które w 2015 r. wprowadziły ją w całej federacji w kwocie 8,5 euro za godzinę. Była to nad Renem bez mała rewolucja, gdyż do tej pory nie funkcjonowała tam ogólnokrajowa płaca minimalna, tymczasem wprowadzono ją od razu na wysokim poziomie. W przeliczeniu na miesięczne zarobki płaca ta wynosiła w Niemczech 1473 euro, co przy uwzględnieniu parytetu siły nabywczej oznaczało, że jest ona w Niemczech drugą najwyższą w UE, po Luksemburgu (bez uwzględnienia siły nabywczej piątą najwyższą). Mimo to nie nastąpił wróżony przez ekspertów wzrost bezrobocia – wręcz przeciwnie, spadło ono o pół punktu procentowego. Pod koniec 2014 r. wynosiło 5 proc., a pod koniec 2015 r., czyli po roku obowiązywania nowych przepisów, wyniosło 4,5 proc., co oznacza, że obecnie niemieckie bezrobocie jest... najniższe w UE.

Oczywiście trzeba zdawać sobie sprawę, że jakaś część najniżej wynagradzanych miejsc pracy może zniknąć w wyniku wprowadzenia godzinowej płacy minimalnej dla umów zleceń. Jednak te „bieda-prace” i tak są w istocie jedynie formą ukrytego bezrobocia, gdyż ubodzy pracujący, których jak widać jest w Polsce zdecydowanie najwięcej w regionie, muszą dodatkowo korzystać ze wsparcia chociażby pomocy społecznej. Zatem do tych najniżej wynagradzanych miejsc pracy, z których korzyści

czerpią niektórzy pracodawcy, musimy dopłacać my wszyscy. Wszyscy zrzucają się na pomoc socjalną dla ubogich pracujących, zapewniamy im opiekę zdrowotną, na którą sami nie mogą się składać lub składają się na nią jedynie w minimalnym wymiarze, a gdy przejdą na emeryturę znów będziemy ich wspierać transferami, gdyż pracując za głodowe stawki nie będą w stanie odłożyć składek wystarczających na godziwą emeryturę. Tymczasem zyski z tego, że można w Polsce całkowicie legalnie zatrudniać ludzi za kilka złotych na godzinę, powędrują do kieszeni poszczególnych cwaniaczków, którzy jeszcze w towarzystwie czy debacie publicznej uchodzić będą za wielkich przedsiębiorców, niemal w pojedynkę tworzących nasz mityczny PKB.

Trzeba w końcu jasno i wyraźnie powiedzieć, że „biznesmeni” oferujący „miejsca pracy” za 6 zł na godzinę bezcennie żerują na całym społeczeństwie, a więc nie są żadnymi bohaterami kapitalizmu. Firmy, które mogłaby zarząca godzinowa stawka minimalna wysokości proponowanych przez rząd 12 złotych, nigdy nie powinny powstać, gdyż nie stanowią żadnej wartości dodanej dla polskiej gospodarki. Miejsca pracy, które oferują, to żadne miejsca pracy, bo wszyscy do nich dopłacamy. Zdrowszą już sytuacją będzie, gdy ci „przedsiębiorcy” przestaną udawać, że zatrudniają i płacą, państwo przestanie udawać, że bezrobocie jest niskie, a ci wszyscy biedni ludzie, którzy tracą nawet i po kilkanaście godzin dziennie ofiarowując swoją energię za bezcen, oficjalnie przejdą na jakiś czas na garnuszek państwa i skupią się na podwyższaniu swoich kwalifikacji oraz szukaniu lepszej pracy. Bo po 12 godzinach pracy w ochronie człowiek raczej nie ma już sił próbować popchnąć swoją karierę zawodową do przodu i może z tego powodu utknąć w takiej „bieda-pracy” na lata.

Dobrze o tym wiedzą ci, którzy korzystają z tej niemal darmowej pracy. Wartość dodaną dla Polski stanowią bez wątpienia firmy, które potrafią uzyskiwać niezłą rentowność dzięki oferowaniu unikalnych produktów, posiadaniu dobrego

pomysłu na biznes czy konkutowaniu efektywną organizacją pracy. Firmy, które rentowność uzyskują dzięki temu, że mają do dyspozycji prawie darmową siłę roboczą, nie stanowią żadnej wartości i powinny upaść jak najszybciej, gdyż jedynie zaśmiecają rynek – stanowią nieuczciwą konkurencję wobec tych, którzy niekoniecznie chcą robić biznes na wyzysku, a także powodują obniżenie rynkowych stawek oraz zniekształcanie oficjalnych statystyk rynku pracy.

Jednak oczywiste jest, że zdecydowana większość miejsc pracy wycenianych poniżej pensji minimalnej przetrwa. Przecież niemożliwe jest, by różne podmioty nagle zrezygnowały z usług firm ochroniarskich czy sprzątających, a niektóre hipermarkety z kasjerek. Po prostu nie będą miały innego wyjścia, niż w końcu zapłacić swoim ludziom przyzwoicie. Trzeba będzie się pogodzić z faktem, że za niektóre produkty i usługi będziemy musieli zapłacić więcej, ale zrekompensuje nam to fakt, że zwiększymy dynamikę gospodarczą dzięki włączeniu w życie gospodarcze wielu osób, do tej pory z niego wykluczonych. Część ludzi na pewien czas straci pracę, która i tak nie była specjalnie wartościowa, za to dużo więcej osób dostanie wyższe pensje, dzięki czemu sytuacja na rynku pracy się polepszy, na czym ostatecznie skorzystają także ci pierwsi. No bo chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie wyobraża sobie, że ci wątpliwej jakości pracodawcy pozwalniają wszystkie sprzątaczkę i wszystkich ochroniarzy i sami chwycą za mopy albo staną w stróżówkach.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl